



Nr. 9.

27-go Lutego

1913.

Co mówi pan Mastyks Szarfmesser

balwierz, chirurg, kąpie również i strzyże psy.

Proszę pana dobrodzieja spacerować do mojego pierwszorzędnego zakładu fryzjerskiego, bez konkurencji. Dla pana osobny gabinet z firankami i dyskretnem wejściem, proszę tylko spacerować. Ja zaraz namydlę osobiście pańskie rysy. Co pan dobrodzieja żąda gazety? a pieł to byłoby ubliżeniem dla mnie. Ja nie trzymam żadnej gazety w moim pierwszorzędnym interesie, bo wychodzę z tego principu, że dobry golarz powinien być także i żywą gazetą.

Niech więc pan dobrodzieja słucha, bo u mnie nie tylko można się golić i ostrzyż, ale i niejednego się nauczyć i z polityki i ze sztuk pięknych i łamanych, które jak może panu dobrodziejowi wiadomo przejeżdżają tu z cyrkiem.

Ten dyrektor od cyrku, to jest bardzo zdolny artysta, on potrafi ujeździć najdzikszego konia swej stajni, które same się z głodu przewracają. Jego żona potrafi do góry nogami kiwać się na trapezie, a liny trzyma się zębami, których już wcale nie ma.

Ten pan dyrektor to ma jeszcze córkę, znakomitą subretkę wykładową Miss Pepitę y Szympanso. Ona jest z lasów brazylijskich. Jej specjalnością to jest gwizdanie na gębie.

Niech pan dobrodzieja teraz nie oddycha, bo ja właśnie potrzebuje pod gardłem prowadzić brzytwę, i jakbym pana dobrodzieja na śmierć zarznął, tobym miał wielkie nieprzyjemności od policyi. No, niech pan dobrodzieja nie oddycha, proszę nos do góry, broda na dół, chrychać nie wolno, ani dłużyć w nosie. Sza! jesteśmy na najniebezpieczniejszym przystanku! A! a! a! Passirt...

Czego się pan dobrodzieja rzuca? co ma być? — krew? ja mówilem, żeby pan dobrodzieja nie oddychał, ale niech się pan nie boi, my zaraz co przylepimy. Co pan krzyczy na Boga, co jest? Jak to można być taki nieodważny. Na co ja teraz? pluję ja pluję na markę pocztową, żeby przylepić na szyję tam gdzie krew leci!...

A zoj? piek szojn, jutro pan będzie zdrów, a markę proszę mi przynieść.

Co mam z włosami zrobić? ach prawda, pan dobrodzieja jak widzę włosów nie używa. Może mogą służyć peruka. Mam tu jedną po woźnym sądowym, który umarł zeszłego roku. Nie chce pan peruki? ny nie to nie, ale może zęby używane. Tę szczękę nosił pan kancelista Borbadzki aż do swojej śmierci. Niech pan dobrodzieja spróbuje, może się panu uda.

— Nie? nie mam jakoś szczęścia dzisiaj do pana dobrodzieja... Razem osiemdziesiąt centów i pięć centów kaucya za mareczkę. Padam do nóg dla pana dobrodzieja. Sługa pański sługa, a proszę o pamięć.



MODNE MAŁŻEŃSTWO.

Narzeczone: Służby nie możemy niestety trzymać, środki nam na to nie pozwolą. Dlatego, moja najdroższa Zosienko, musimy się umówić i zdecydować, kto weźmie na siebie prowadzenie gospodarstwa. Albo ty się naucz gotować — albo ja!..



DOBRY UCZEŃ.

— Tatusiu! ja sam jeden dzisiaj z całej klasy umiałem odpowiedzieć na pytanie nauczyciela.

— A, to mnie cieszy! O cóż pytał się nauczyciel?

— Spytał się, kto stłukł szybę w naszej klasie...



NA RYNKU.

— Co to za osoba, co tak głośno po niemiecku do swej towarzyszkii krzyczy, że na przeciwnej stronie rynku słychać?

— Nie znam jej. Zapewne ta krzycząca chce się dobić po Ostmarkenculagi, zaś ta cicha osoba już culagi pobiera.



MAZUREK.

W takt podkówki — hej Mazurek!

Miał tatunio aż pięć córek:

Jedna ciemna,
Druga biała,
Trzecia pięknie
Rysowała,
Czwarta śpiewa,
A gra piąta —
Wszystkie spolem
Krzyczą z kąta:

„Niechże mężów da nam tata,
Wiek z wdziękami wszak ulata!”

Brzęknął tata więc portmona,
Chłopców się gromadzi grono:

Jeden niski,
Drugi kusy,
Trzeci wdzięczny
Robi susy.
Czwarty gnie się,
A zaś piąty
Niby wyżej
Węszy kąty.

Wszyscy pieją jednym głosem:

„Trza się przedtem poznać z trzosem!”

Co zoczywszy mądry tata,

Z domu chciwców tych wymiata

I to rzeknie:

„Na nic życie.

Rzecz zważywszy

Należyście,

Lepsza dola

Starej panny,

Niż niepokój

Nieustanny.

Boć fałszywa rola żony,

Gdy na targu mąż kupiony!



TRUDNO WSZYSTKIM DOGODZIĆ.

Złodziej: Gdy kradnę, to mnie karzą więzieniem, a gdy znów nie pracuję, to również do fralestu pakują za lenistwo. I jakże tu im dogodzić?



NAJWAŻNIEJSZY PARAGRAF.

Aron Zimeles i Izidor Hintergedanke postanowili zawrzeć spółkę do handlowania „szmatami, koszciami i inne towary galanteryjne”, naturalnie „en gros”.

Udali się tedy do adwokata, aby im sporządził kontrakt spółki. Cały dzień się biedny adwokat męczył, bo obaj, Aron i Izidor byli bardzo przebiegli i każdy chciał się wobec drugiego we wszelki możliwy sposób zabezpieczyć, wreszcie koło wieczora był już kontrakt w pięćdziesięciu paragrafach gotów do podpisu. Już, już mieli kontrakt podpisać, gdy w tem Izidor „sze złapał za głowę”.

— Aj waj! — krzyknął. — Jednemu ważnemu paragrafu mi zapomniali napisać do kontraktu!

— Co? jaki? — zawołali adwokat i Aron razem.

— Pisz pan, panie mecenasu: Paragraf 21: „Jak spółki będzie zbankrutowacz, to sze oboje spółniki dzielą po połowę z czystym zysku”.

NA NAUCE W KOSZARACH.

Kapral: Z ilu części składa się armata?

Szeregowiec Konewka: Z pięciu i... i...

Kapral: I... i... ośle jakiś, czy nie mówiłem ci wczoraj, że z siedmiu.

Szeregowiec Konewka: Daruj mi pan, panie kapralu, zapomniałem.

Kapral: Jeżeli masz taką baranią głowę i wszystkiego zapominasz, to sobie zapisz!

Szeregowiec Konewka: Nie umiem pisać, gdyż w naszej wsi nie było ani szkoły, ani nauczyciela.

Kapral: Powiedz mi zatem, Kapusta, dlaczego armata musi się składać właśnie z siedmiu części?

Szeregowiec Kapusta: Bo... bo...

Kapral: Bo... bo... jesteś osłem i nic nie wiesz. Uważajcie teraz wszyscy, ciemięgi! Wyjaśnię wam to raz jeszcze! A więc uważać, gdyż inaczej, do kroćset milionów bagnetów, będzie z wami źle! Słuchajcie, powtarzam na nowo. Każda armata składa się tylko z siedmiu części, gdyby bowiem miała ich sześć, toby jednej brakowało. Czyście zrozumieli, słomiane osły?

Wszyscy rekruci: O tak teraz pojęliśmy już wszyscy.



WSPÓLNY BUDŻET.

— Ależ kochana żoneczko! Nasz budżet na garderobę wzrósł w krótkim czasie do wysokości 200 marek!...

— Mój mężu!... Wszak to są nasze wspólne wydatki!

— Ach prawda! masz rację. Figurę w nim i moja krawatka za 80 fenygów.



W ZAPALE.

Ojciec: Chodź mój synu, nie mogę na to zezwolić, ażebyś wieczorem tak długo poza domem przebywał... Gdym ja był w twych latach, to musiałem już o godzinie 7 być w domu...

Syn: To ojciec musiał mieć jakiegoś dziwaka ojca.

Ojciec: Smarkaczu, miałem lepszego ojca jak ty!



DOWCIPNY.

Dwóch łazęgów przechodzi przed pomnikiem. Jeden z nich jest nieco ciekawy i zapytuje swego kolegę:

— Ty! Antik! Co to za frajer wyciosany z kamienia?

— Ba, żebym to wiedział!... Ale zaczekaj Kantik, odbiję mu kawalek nosa, to jutro dowiemy się z gazet jak się nazywa!...



Co się przydarzyło pewnemu policyantowi?



Policyant: Co widzę? Ci dwaj chłopcy łowią ryby, a to przecie dziś Niedziela, więc niewolno. Podam ich do kary.



Odycie mi nazwiska podali, ruszajcie do domu. Kara was nie minie.



Człek się musi nabiegać, a tu takie zaciszne miejsce do południowej drzemki. Usiądę sobie, a odpocznę.



Chłopcy: Musimy się zemścić! Niech on też ma kłopot i karę.



Lantrat: Cóż widzę? Tam ktoś przy Niedzieli łowi ryby.... Oj wezmę go za to w kluby!...



Co? Policyant sam łowi ryby? No, co nadto to nie zdrowo. Już ja wam za to sprawię! Wy macie być stróżem prawa, a wy je przestępujecie?! Kara was za to nie minie!

NA WSI.

- Dlaczego ty tak kochasz tego Bartka?
- A bo to ogniście silny chłop!
- A dlaczego nie lubisz Morcina?
- Bo to taki słaby niedojda.

NASZE DZIECI.

Ojciec: Ja zwykle sędzę ludzi z wrażenia pierwszego i nigdy się na tem nie zawiodę.

Mały Adaś: A jakie włazienie odniósł tatuś, gdy mnie pielsi łaz zobacił?

TRZEWIKI BOMBOSA.

Klatecki wyjechał za interesami do Lwowa, gdzie kilka dni zabawiał. Korzysta z tego żona, pozostała na wsi i pisze małżonkowi list, ze spisem rozmaitych rzeczy, których potrzebują w domu. Na końcu dodaje:

— A kup mi tam także trzewiki bombosa.

Klatecki skupił wszystko co mu polecono, wreszcie udał się do magazynu gotowego obuwia i żąda trzewików. Szewc pokazuje mu rozmaite fasony i nazywa je rozmaicie: szwedzkie, angielskie, kurystyczne itp. Klatecki kręci nosem i powiada:

— Takich nie chcę, daj mi pan fason Bombosa.

Szewc wytrzeszczył oczy i pyta jeszcze raz: jaki fason?

— Bombosa! — woła zaperzony Klatecki — najuowszy, najwygodniejszy.

Szewc uderza się w czoło, udaje domyślnego i powiada:

— Ach! mam, mam, dlaczegożbym nie miał.

Wyciąga ze szuflady pierwsze lepsze trzewiki i pokazuje gościowi.

— Otóż te! — woła zadowolony i uradowany Klatecki, płaci i zabiera ze sobą trzewiki.

Gdy przyjechał do domu, opowiada żonie, że sprawił jej przyjemność, kupując trzewiki Bombosa.

— Cóż to za trzewiki? — pyta żona?

— Ano takie, o jakie pisałaś — Bombosa!

— Ależ ja pisałam, kup, bom bosa, jest.



OSTATNIA WOLA.

Pan B. czując się bardzo chorym, kazał zawezwać notaryusza, by zrobić testament.

— Mojej żonie, — rozporządził w pierwszej linii, — przeznaczam 1000 marek renty.

— A co będzie w takim razie, jeśli będąc jeszcze młodą, wyjdzie za mąż powtórnie? — pyta notaryusz.

— W takim razie otrzyma 2000 marek renty.

— Jąko? Dwa razy tyle?

— Tak. Człowiekowi, który się z nią ożeni, należy się jakieś odszkodowanie. Niech wie, że z nim współczuję. Pisz pan 3000 marek.



PRZYGODA LEKARZY.

Do łóża chorego zawołano lekarza Gurowicza; kiedy wszedł do pokoju, zastał przy łóżu swego koleżę doktora Cyfrowicza. Nic nie mówiąc, usiadł przy chorym i wsunął rękę pod pierzyne, celem zbadania pulsu. To samo uczynił Cyfrowicz. Gurowicz liczy raz, dwa, i pół i trzy i t. d., patrząc na zegarek. Po chwili woła:

— Ależ to jest puls normalny zdrowego człowieka.

— Boś pan badał puls mojej ręki, — rzekł z uśmiechem szyderczym Cyfrowicz.



IDEAL KOMIWOJAŻERA.

Szef: No i powiedz mi pan, panie Wszedobylski, jakim cudem pan tu wszedłeś? Zapowiedziałem przecież stróżowi najwyraźniej, by żadnych podróżyjących agentów tu nie wpuszczał! Którędy pan wlałeś.

Komiwojażer: Kominem, do usług pana dobrodzieja!



NIEWINIATKO.

Sędzia: Jesteście oskarżeni o kradzież sosny z lasu.

Oskarżony: Ja jej nie ukradłem, panie sędzio. Jechałem przez las z próżnym wozem i zaważyłem o sosnę. Drzewo złamało się i... spadło prosto na mój wóz. Co miałem zrobić? Złożyć sosny z wozu nie mogłem, bo była za ciężką, musiałem ją wziąć do domu.



KIEPSKI ADWOKAT.

Do adwokata przyszedł chłop ze sprawą. Czekać w kancelarii, słyszy, jak mecenas klóci się w pokoju z żoną i kiepsko odgryza. Bierze kapełusz i wychodząc mówi do siebie:

— Nie chcę takiego adwokata, który nie umie przegadać swojej żony.



TO ZNOWU CO INNEGO.

Kupiec beszta swego buchaltera, że pomylił się w rachunku dla Pacyńskiego. Cyfry nie zgadzają się w żaden sposób.

— Muszę pana oddalić.

Buchalter: Przepraszam pana pryncypała, pomyliłem się o 25 marek; lecz to na szkodę Pacyńskiego, a na nasz zysk.

Kupiec: A to znowu co innego. W takim razie zatrzymam pana i podwyższę mu pensję.



WIÓRKI.

Droga prowadząca do kataru żołądka, jest wybrukowana kuflami.



Skromność jest niczem innem, jak — brakiem zdecydowania się.



Nie sądź ludzi — wedle długów.



Mamy wiele pobłażliwości — dla błędów naszych przełożonych.

